

AGNIESZKA MACIĄG



ROMANY
I WIĘC

Podróż do samej siebie

Liguria / Lazurowe Wybrzeże / Prowansja





Dzień dobry, dniu!

Po porannej praktyce, z kubkiem gorącej herbaty w dłoni, patrzyłam przez okno. Gęste chmury sprawiały wrażenie nieruchomych, mimo to po chwili wyłoniły się zza nich ośnieżone szczyty gór. Na tle ciemnego nieba wyglądały jak tajemnice do odkrycia. Byłam poruszona. W tej chwili ten obraz przemówił do mnie bardziej niż czysty błękit nieba, za którym tak tęskniłam. **To moja niepowtarzalna chwila – nikt nigdy takiej nie przeżył, nie doświadczył.** Dostrzegłam ją, ponieważ się na nią otworzyłam. Dzisiaj, już bez oczekiwania, zapytałam: co masz mi do zaoferowania, dniu? Zanurzę się w tobie i zobaczę, co przyniesiesz mi w darze...



Przed nami był kolejny odcinek podróży, ale uznaliśmy, że zanim opuścimy Bellagio, chcemy jeszcze trochę pospacerować jego uliczkami. Chmury właśnie się podniosły i jakby na pożegnanie ukazały nam jezioro i opasujące je wzniesienia całe oblane



słońcem – tego ranka uroda tego miejsca wprost oszalała. Tak, to idealne miejsce dla zakochanych. Idealny prezent dla nas!

Wędrowaliśmy po Bellagio, nie śpiesząc się. Nie zależało nam, aby zobaczyć jak najwięcej, ale by po prostu być. Nasz rytm wyznaczała Helenka – jej możliwości i potrzeby. Gdy się do niej dostosowaliśmy, wszystko płynęło. Żalowałam, że nie ma z nami Michała, który tak bardzo kocha Włochy. Przygotowywał się właśnie do podróży do Holandii, aby za kilka dni rozpocząć tam pracę. Poczułam się wzruszona, że mój syn tak dobrze radzi sobie w życiu, że jest odważny i samodzielny. Z głębi serca wysyłałam mu dużo miłości i duchowego wsparcia.



Ruszyliśmy w dalszą drogę. Czekало nas trochę ponad cztery godziny jazdy do miejsca, w którym zamierzaliśmy się zatrzymać na dłużej – do San Remo. Początkowo plany naszej wyprawy w ogóle nie uwzględniały tego miasta. Pragnęłam w swoje urodziny odwiedzić miejscowość Saint-Agnès znajdującą się we francuskiej części Alp Nadmorskich, a później, przez Lazurowe Wybrzeże i Saint-Tropez, dotrzeć do grotty Marii Magdaleny położonej w głębi Prowansji.

Nieoczekiwanie parę dni przed wyjazdem Robert otrzymał propozycję zrobienia zdjęć kilku wybitnym twórcom podczas festiwalu filmowego w Cannes. Nie co dzień dostaje się takie zlecenie. Pokrzyżowałoby nam ono plany wymarzonego wypoczynku we troje, mimo to szukałam sposobu, jak najlepiej wszystko pogodzić. Bo wiedziałam, że ja do Cannes się nie wybieram, zwłaszcza z małą Helenką. To był mój zasłużony

czas na oddech i spokój, a nie byłabym w stanie odpocząć (wiem to na pewno!) w miejscu pełnym fotoreporterów, paparazzich, gwiazd, korków i zamieszania. Bardzo mnie to męczy, „targowisko próżności” w żadnym razie nie jest moim ulubionym światem. Padło więc na San Remo: od Cannes oddalone jest półtorej godziny drogi samochodem, gdyby więc Robert zdecydował się przyjąć tę pracę, teoretycznie mógłby rano pojechać na sesję, a wieczorem wrócić do nas. A poza tym mielibyśmy tu dobrą bazę wypadową do Francji i Włoch. Tak to sobie planowałam.

W internecie znalazłam willę z ogrodem, w bardzo atrakcyjnej cenie. Do wynajęcia była spora jej część z oddzielnym wejściem (kuchnia, salon i dwie sypialnie z łazienkami). Zdecydowanie wolę takie miejsca niż hotele. Chciałam, żeby Helenka mogła swobodnie bawić się w ogrodzie, a my wypić poranną kawę w piżamach, ciesząc się słońcem i intymnością. Zdjęcia tego miejsca na stronie internetowej tak nas zachwyciły, że nie mieliśmy cienia wątpliwości. Tym bardziej że i opinie internautów, którzy to miejsce odwiedzili, były entuzjastyczne.



San Remo – miasto piosenki (od lat odbywa się tu słynny festiwal, który jako dziecko każdego roku razem z rodzicami oglądałam w telewizji), nazywane też miastem kwiatów. Na zdjęciach w internecie wyglądało na malowniczą, spokojną miejscowość włoskiej riwieri. Tymczasem znaleźliśmy się w mieście zaniedbanym i zupełnie pozbawionym uroku – pełnym korków, spalin, klaksonów, zatłoczonych uliczek, którymi w pośpiechu

przedzierały się głośnie skutery. Jediną nadzieją stała się „nasza” willa z ogrodem, oddalona od centrum miasta.

Nawigacja poprowadziła nas bardzo krętą, wąską drogą, wiodącą cały czas pod górę. Zakręty były czasem tak ostre, że nasz samochód z trudem się tam mieścił. Robert jechał ostrożnie, rozważnie, ale inni kierowcy dosłownie pędzili, miałam wrażenie, że byli wręcz beztroscy. Szczerze mnie to zaniepokoiło. Po kilkunastu minutach takiej jazdy serpentyną poczułam mocne zawroty głowy i zrobiło mi się niedobrze. Na szczęście Helenka znacznie lepiej znosiła tę podróż niż ja. Chcę do domu, pomyślałam, ale dom był daleko.

Nawigacja pokazała, że już zbliżamy się do celu. Nie mogłam się doczekać! Jednak pod wskazanym adresem nie było naszej pięknej willi... jedynie jakaś stara, nieużywana chyba od lat brama zamknięta na cztery spusty. Poza tym nic – tylko skała i bardzo wąska droga, po prawej stronie mieliśmy wzgórze, a po lewej przepaść. Nie mogliśmy znaleźć nawet centymetra pobocza do zaparkowania, bo nie było żadnego pobocza. Pojechaliśmy więc dalej. Nawigacja oszalała. Poczułam niepokój – czyżbym zapłaciła za pobyt w widmowej willi? Niemożliwe.

Robertowi, choć było to bardzo trudne, udało się wreszcie przykleić do wzgórza, tak żeby żaden pędzący samochód ani skuter na nas nie wpadł. Wyszedł z samochodu, aby się rozejrzeć, ale wokół nie było nikogo, kto mógłby nam pomóc. Dzwonił do właścicielki willi. Po pewnym czasie nareszcie odebrała.

Okazało się, że stara metalowa brama to wjazd do garażu, który został... wykuty w skałe. Na ulicy nie można się zatrzymywać, bo to niebezpieczne – trzeba wjechać do garażu ostrożnie, ale sprawnie i szybko, bo z każdej strony są ostre zakręty, a droga

bardzo wąska. To akurat zauważyliśmy. Obok bramy do garażu była jeszcze jedna brama (przez którą wchodziło się na teren posesji) – a do niej przypięty pojemnik z kluczami do garażu, do bramy wejściowej i do domu (był zamknięty na kłódkę, która otwierała się na szyfr). Dom był trochę wyżej, na wzgórzu, wiodły do niego schodki. Z niepokojem pomyślałam o wszystkich naszych bagażach do wniesienia.



Odnaleźliśmy klucze i po kilku próbach udało nam się otworzyć bramę do garażu. Tu kolejna niespodzianka – brama była niska, a na dachu naszego auta znajdował się przecież dodatkowy bagażnik. Wyglądało na to, że się nie zmieścimy. No to kłapa. Samochody mijające nas pędziły, a my przeprowadzaliśmy naszą operację na tej wąskiej drodze dużym autem, z dzieckiem w środku, któremu właśnie zachciało się siku. O losie! Robert się nie poddawał.

– Nie mam wyboru, kochanie – powiedział. – Spróbuję wjechać. Moim zdaniem się uda. Wsiądź, proszę, i zerknij na dach, nie chcę się tu zaklinować.

Przeżegnał się i ostrożnie ruszył. Ja też się przeżegnałam, aby zza zakrętu nikt na nas nie wpadł. Obawiałam się, że nasz samochód jednak się nie zmieści, ale o dziwo wjechał do środka! Nad górnym bagażnikiem zostały nie więcej niż dwa centymetry luzu.

Otworzyliśmy furtkę i tylko z podręcznymi bagażami zaczęliśmy się wspinać do willi. Była okazała, imponująca, świeżo odmalowana i piękna jak z filmu Bertolucciego. Robert otworzył



metalowe kraty, potem drzwi i znaleźliśmy się od razu w kuchni. Widzieliśmy ją na zdjęciach, wyglądała bardzo ładnie. Teraz naszym oczom ukazały się mocno sfatygowane meble. Poczuliśmy zapach starości. Weszliśmy dalej. Nie jest dobrze, pomyślałam. Spojrzeliśmy na siebie. Po dwudziestu latach razem rozumiemy się bez słów.

Poszliśmy z Helenką do toalety. Na szczęście było tam czysto. Obejrzeliśmy „naszą przystań” – pomieszczenia się zgadzały: kuchnia, obok mały salon pełniący też funkcję jadalni z bezpośrednim wyjściem do ogrodu, w głębi dwie sypialnie i dwie łazienki. Helenka, bardzo ożywiona, biegła po domu.

– Podoba ci się tutaj? – spytałam.

– Tak, bardzo! – krzyknęła z entuzjazmem.

Rozbawiona zaczęła skakać po łózkach, a po chwili wypakowywała swoje zabawki. Byliśmy zdumieni.

– Ale dziwne miejsce znaleźli rodzice – powiedziała cicho, sama do siebie, śmiejąc się pod nosem, wyraźnie bardzo zadowolona.

Było już późne popołudnie.

– Co robimy? – zapytał Robert. – Helence tu się podoba, pobyt mamy opłacony, mimo tej starości jest tu czysto. A poza tym zbliża się wieczór.

– Ja bym została – odpowiedziałam.

Robert przytaknął.



Postanowiłam oswoić to miejsce. Wnieśliśmy część bagaży. Zaczęłam rozpakowywać swoje rzeczy „do zaczarowywania przestrzeni”. Najpierw jednak porządnie wywietrzyłam każde

z pomieszczeń. Potem w skupieniu pomodliłam się, aby ta przestrzeń stała się wolna od cudzych energii. Pokoje ozdobiłam swoimi pięknymi szalami, zapaliłam kadzidelka i świece, włączyłam kojącą muzykę, zaparzyłam aromatyczną herbatę. Gotowe! Byliśmy u siebie.

– Jesteś czarodziejką – powiedział Robert.

A ja **cieszyłam się, że jestem kobietą, która potrafi oswajać przestrzeń i zmieniać energię miejsc. To wielki dar i skarb kobiecości.**



Usłyszeliśmy ciche stukanie dobiegające zza ściany. Okazało się, że nie jesteśmy sami – w drugim skrzydle willi trwał remont. Przywitaliśmy się z pracownikami. Przemiły starszy pan o imieniu Hamid uściśnął nam dłonie na powitanie. Opiekował się domem i ogrodem, a w pracach remontowych pomagał mu syn. Pochodzili z Maroka, słabo mówili po angielsku, za to bardzo dobrze po francusku. Robert świetnie zna ten język (przez dziesięć lat mieszkał w Paryżu), więc mogliśmy podpytać o dom i okolicę.

Okazało się, że właścicielka willi mieszka w Szwajcarii, a że sezon dopiero się zaczynał, to postanowiła przeprowadzić drobne prace naprawcze. Hamid zapewnił nas, że nie musimy się obawiać hałasu, a oni zrobią wszystko, aby nie zakłócać naszego spokoju. Na górnym piętrze wynajmowała pokoje inna rodzina z małym dzieckiem, ale przez cały dzień ich nie było, ponieważ podróżowali po okolicy.

Robert zapytał o miejsce, gdzie moglibyśmy dziś zjeść prawdziwą włoską pizzę. Obiecaliśmy ją Helence przed

wyruszeniem w drogę do „królestwa pizzy” (jest przysmakiem chyba wszystkich dzieci). Otwartej restauracji w pobliżu willi w tej chwili nie było, w tej części miasta niewiele się działo. Syn opiekuna domu znalazł miejsce z prawdziwą domową pizzą, ale bliżej centrum. Właśnie skończył pracę i zaproponował, że nas poprowadzi. On będzie jechał przed nami swoim skuterem, a wrócimy już sami. Pragnęłam pojechać nad morze, do portu, a restauracja właśnie tam się znajdowała. Świetnie!



– To bardzo blisko, jakieś pięć minut samochodem! – powiedział chłopak zadowolony.

Robert uśmiechnął się.

– Znakomicie, w takim razie ruszamy! – zawołał. Tym razem bardzo pewnie wyprowadził auto z garażu.

Znowu czekała nas jazda wąską, ruchliwą drogą, dla odmiany wiodącą stromo w dół.

Jedną rękę zaciskałam na fotelu kierowcy, żeby się nie poobijać, a drugą podtrzymywałam dziecko. Podróż nie trwała pięciu minut, ale co najmniej piętnaście. Ludzie we Włoszech mają zupełnie inne poczucie czasu.

Z trudem udało nam się znaleźć miejsce na parkingu, ledwo wcisnęliśmy się między samochody (z pewnością nie wrócimy do domu z nieporysowanym autem). Znowu kręciło mi się w głowie i miałam nudności, a Helenka niestrudzenie pytała, kiedy dostanie swoją pizzę. Marzyła mi się urocza restauracja z widokiem na morze, tymczasem nasz przewodnik zaprowadził nas do dosyć zapyziałego lokalu przy gwarnej ulicy.

– Tu jest najlepsza pizza w mieście! – oznajmił z uśmiechem.

Uściskał dłoń szefa restauracji, który wyglądał jak mafioso. Pożegnał się z nami i szybko wyszedł. O matko!, pomyślałam i przycisnęłam do siebie Helenkę i torebkę, w której miałam pieniądze i dokumenty.

Byliśmy jedynymi gośćmi. Wszystko działo się bardzo szybko, nawet nie zdążyliśmy się zastanowić, czy w ogóle chcemy tu zostać! Natychmiast zostaliśmy usadzeni, a na stół wjechały woda, pieczywo, talerz w oliwkami, oliwa, sztucce i serwetki. Nie było odwrotu. Zamówiliśmy pizzę, żeby już dłużej nie przetrzymywać Helenki. Szef cały czas mierzył nas wzrokiem. W jego spojrzeniu było coś takiego, że cierpła mi skóra na plecach. W pewnej chwili miło się do nas uśmiechnął.

– *Bella bambina* – powiedział, przyglądając się Helence, która właśnie wbiła swoje małe ząbki w wielki kawałek pizzy.

Jedzenie okazało się naprawdę dobre, świeże, domowe (chłopak miał rację). Smaku nadawały mu aromatyczne zioła. Kiedy jechaliśmy do San Remo, zauważyłam na obrzeżach szklarnie zbudowane na stromych zboczach. Było ich bardzo dużo. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Na każdym kroku można było zauważyć świeże zioła, hodowane w większych lub mniejszych doniczkach. Stały na balkonach, tarasach, parapetach okiennych. Nic dziwnego – Liguria słynie przecież z pesto, które w naszej rodzinie bardzo lubimy.

Do restauracji zaczęli napływać nowi goście. Po chwili nie było ani jednego wolnego stolika. Wyglądało na to, że mieliśmy dużo szczęścia i przyjechaliśmy w idealnym momencie. Wieczorem lokale otwiera się tu o dziewiętnastej, a my przypadkowo byliśmy

pierwszymi gośćmi. Teraz było tu tłoczno, gwarno, a wszyscy zjadali się lokalnymi przysmakami, z pizzą na czele.



Po kolacji poszliśmy, tak jak chciałam, na przystań i do portu. Całe wybrzeże zostało zabudowane brzydkimi, obskurnymi budkami z jedzeniem. Co to za miejsce to San Remo?, zastanawiałam się. Wiele razy byłam we Włoszech. Pracowałam w Mediolanie, byłam kilka razy w Rzymie, Wenecji, Pizie. Podróżowaliśmy po Toskanii, gdzie uderzyła nas niezwykła dbałość o przestrzeń. Nie było tam reklam, billboardów ani przypadkowych budynków – każdy został z rozmysłem wkomponowany w zabytkowy krajobraz. Tu było inaczej: chaos, nieład i bałagan. Nie znałam takich Włoszech.

– Zabieramy się stąd! – powiedział Robert.

Jeszcze tylko w pobliskim supermarkecie zrobiliśmy zakupy na jutrzejsze śniadanie i wróciliśmy do naszej willi.

Tego wieczoru dosłownie padliśmy ze zmęczenia. Mieliśmy przesyt wrażeń jak na jeden dzień. Przez uchylone okna dochodził zapach wieczornego ogrodu. Zasnęliśmy w tym „dziwnym miejscu, które znaleźli rodzice”.

Tylko tu i teraz

Rano okazało się, że to miejsce ma dla nas wielki dar, którego bardzo potrzebujemy – spokój. Spaliśmy wyjątkowo dobrze.

Otworzyłam oczy, słońce dopiero wstawało. Po porannej medytacji, cicha i nieporuszona, siadłam przy oknie i obserwowałam, jak chmury stopniowo unoszą się nad wzgórzami Ligurii. W oddali połyskiwało morze, a na niebie pojawiła się pastelowa poświata błękitu i różu.

Okryłam szalem ramiona i wyszłam do ogrodu. Chciałam się z nim przywitać. Wczoraj byłam tak pochłonięta tym, czy w ogóle uda nam się wejść do willi i co tu zastaniemy, że nawet go nie zauważyłam. Teraz ujrzałam pokryte rosą rośliny i atlasowe kwiaty, które były dosłownie wszędzie. Szłam starą, wybrukowaną kamieniami alejką. Znalazłam się w świecie róż. To nie był sen. Krzaki kwitnących róż kołysały się lekko na porannym wietrze. Kwiaty były pełne, szeroko otwarte. Zachęcały, by się nad nimi pochylić i wdychać ich zapach. Żółte, białe, purpurowe, w kolorze kości słoniowej. Szłam dalej. Poranny spektakl dopiero się zaczynał. Pachnące kępy lawendy, tymianku i oregano. Kwitnące

drzewo cytrynowe, wyniosłe i dumne irysy, wielkie naparstnice, okazale oleandry. I mnóstwo innych roślin, których nazw nie znalazłam. Ich kompozycje tworzyły żywe obrazy.

W głębi ogrodu rozłożyły swoje ramiona ogromne krzewy rozmarynu. Musiały mieć co najmniej kilkanaście lat. Lubię matowe srebro rozmarynu, jego zielone liście o kształcie miękkich igieł, głęboki, przenikliwy zapach. Mam dla tej rośliny wielki szacunek. W starożytności uważana była za zioło magiczne. Używano jej jako składnika kadzidel palonych podczas uroczystości religijnych. Ponadto dekorowano nią posagi, a studenci nosili na głowach wieńce z rozmarynu – miał pobudzać umysł i wzmacniać pamięć. Przez wiele wieków był też ważnym elementem wiązanek ślubnych. Aromatyczne gałązki rozmarynu królują nie tylko w mojej kuchni, służąc mi do przyprawiania potraw. Upiększam nimi także swój dom, lubię, kiedy stoją na biurku, przy którym pracuję. Rozmaryn ma dla mnie szczególne znaczenie. Zawsze staram się mieć przy sobie naturalny olejek eteryczny z tej rośliny. Orzeźwia mnie, podnosi koncentrację i wspiera, gdy praktykuję jogę, medytuję, prowadzę warsztaty, jadę samochodem. Teraz wachałam olbrzymie krzewy rozmarynu. Zapewne знаły wiele tutejszych sekretów.



Świeżość i czystość tego poranka otoczyły mnie jak modlitwa, jak medytacja natury. Doskonałość tej chwili sprawiała, że poczułam się blisko Stwórcy. Poczułam się częścią tego czystego istnienia wszechrzeczy. Bez końca i bez początku. Byłam w tej chwili,



dosłownie się w niej rozplynęłam... Szeptem powiedziałam do siebie:

– Bądź wypełniona miłością, radością i spokojem. Niech to uczucie pozostanie z tobą na cały ten dzień.

Narwałam ziół i kwiatów i zrobiłam z nich bukiety pachnące rosą i porannym wiatrem. Wstawiłam je do wazonów, które znalazłam w kuchni. Uśmiechałam się do siebie spokojna. Oto jestem.



Pora zająć się śniadaniem, pomyślałam. Niedługo wstaną Robert i Helenka. Już mi nie przeszkadzały mocno sfatygowane meble, przestałam kierować na nie swoją uwagę. W szafie znalazłam uprane, uprasowane i równo poskładane obrusy. Wybrałam różowo-biały, bo najpiękniej komponował się z roślinami w ogrodzie. Rozłożyłam go na okrągłym stole i zaczęłam kompletować zastawę, którą odkryłam w kuchennych szafkach. Porcelanowe filiżanki w biało-niebieskie wzory, talerze, dzbanki. Na środku ustawiłam wazon z bukietem róż i gałązkami rozmarynu. Rozmaryn i róże...

To była moja medytacja w ruchu, moja najpiękniejsza praktyka *mindfulness*. Chodzi w niej o to, aby być obecnym w danej chwili, tylko tu i teraz, z pełną świadomością zapachów, dźwięków, dotyku, obrazów. Wtedy umysł naprawdę odpoczywa. Nie rozpamiętuje przeszłości i nie martwi się o przyszłość, nie planuje niczego, po prostu jest w chwili obecnej. Bez oceniania odczuwamy świat nie umysłem, ale zmysłami. Przeszłość i przyszłość są obszarami, które budzą nasz lęk

i niepokój. **Gdy jesteśmy w tu i teraz, wszystko jest dobrze.**

Na talerze wyłożyłam suszone pomidory i oliwki – czarne i zielone – które następnie posypałam kwiatami ziół. Kawalki koziego sera przybrałam gałązkami świeżo zerwanego oregano. Umyłam warzywa i owoce, pokroiłam żytni chleb i pomidory. Wszystko ułożyłam w pięknych porcelanowych naczyniach ozdobionych motywem kwiatów. Zauważyłam, że sprzęty obecne w tym domu idealnie pasują do ogrodu i stanowią niemal jego przedłużenie. Każdy kolor, każdy deseń był dobrany z rozmysłem.

Zaparzyłam zieloną herbatę ze świeżymi ziołami z ogrodu: miętą, melisą i werbeną. Pękaty dzbanek pachnącego naparu ustawiłam na stole obok kwiatów. Zapaliłam świeczki. Odeszłam kilka kroków i popatrzyłam na swoje dzieło... Pełnia kolorów, bogactwo życia! Pomyślałam, że wszystko, co tu widzę, jest jak nowy obraz, którego dopełnienie stanowią barwy i formy roślin w ogrodzie. Miałam wrażenie, że i ja jestem częścią tego obrazu, bosa, w długiej koszuli nocnej, z jasnym szalem na ramionach...

Kiedy w jadalni pojawili się Helenka i Robert, aż zaniemówili z wrażenia, widząc tak bajecznie zastawiony stół. Jedliśmy, chodziliśmy po ogrodzie, podziwialiśmy niezwykle rośliny, cieszyliśmy się sobą.



Pogoda niestety zaczęła się zmieniać. Na błękitnym niebie pojawiły się ciężkie, ołowiane chmury. Sprawdziłam prognozę – zapowiadano opady ulewnego deszczu, a nawet nawałnice, na całą resztę dnia.

Rozpakowaliśmy bagaże, wczoraj tylko przyniesione i porzucone. W kuchni ułożyliśmy produkty, które przywieźliśmy ze sobą z Polski: płatki owsiane, kaszę jaglaną i gryczaną, ryż jaśminowy, makaron żytni, polski miód z pasieki. Podczas całej podróży chcieliśmy poznawać nowe smaki i cieszyć się inną kuchnią, ale są rzeczy, bez których trudno nam żyć. Unikamy pszenicy, spożywamy ją sporadycznie, ale wiedziałam, że we Włoszech na pewno pojawi się jej więcej, za sprawą pizzy i past. A nimi też chcieliśmy się nacieszyć.



Niebo było już całkowicie zaciągnięte chmurami. Zerknęłam na prognozę pogody dla miejscowości oddalonych od San Remo, w nadziei, że uda nam się dotrzeć tam, gdzie świeci słońce, albo przynajmniej mniej pada. Nic z tego, lało wszędzie i tak miało pozostać aż do wieczora.

Sprawdziłam w internecie atrakcje dla rodzin z dziećmi w bliższej i dalszej okolicy. Po rozeznaniu się w sytuacji zaproponowałam:

– Pojedźmy do Nicei do wielkiego centrum handlowego.

Robert spojrzał na mnie zdziwiony. Wiedział, że nie lubię takich głośnych i tłocznych komercyjnych miejsc, że mnie męczą. Sądził, że raczej wybiorę jakieś muzeum.

Widziałam kiedyś taki obrazek: para młodych Amerykanów z czwórką dzieci w Luwrze. Jedno dziecko w nosidelku u taty, dwójka kolejnych, bliźniaki, w spacerówce, którą pchała mama, a obok nich chłopiec, który dobrze już chodził, a raczej wszędzie biegał. Patrzyłam z podziwem: jacy dzielni ludzie! Podróżują





z tyloma dziećmi, wyprawili się aż za ocean, a teraz zwiedzają jedno z najwspanialszych muzeów świata (pewnie właśnie spełniają swoje marzenia). W kolejnych salach Luwru często trafiałam na tę rodzinę. Mój początkowy zachwyt zaczęło zastępować współczucie. Rodzice nie byli w stanie cieszyć się kontaktem ze sztuką, ponieważ pochłaniały ich potrzeby dzieci – a są to potrzeby podstawowe i muszą być spełnione natychmiast (sucha pieluszka, ciepłe jedzenie, spokojny sen, a także bezwarunkowe poczucie bliskości). W przypadku trochę starszych dzieci na plan pierwszy wysuwa się potrzeba ruchu i rozrywki. I nie ma znaczenia, czy tych dzieci jest czworo czy tylko jedno – te potrzeby muszą być zaspokojone niezwłocznie, w przeciwnym razie nie ma mowy o chwili spokoju. A tego właśnie wymaga sztuka.

Z pełną świadomością wybrałam więc centrum handlowe. Było to całe miasto pod dachem, największe centrum na Lazurowym Wybrzeżu, położone nad morzem. Przynajmniej nie zmokniemy, a Helenka będzie mogła „wyszaleć się” po dniach spędzonych w podróży. A przy okazji może uda nam się kupić pyszne francuskie pieczywo i kozie sery.



Tak też zrobiliśmy – wyruszyliśmy w stronę Francji. Przez całą drogę towarzyszyło nam oberwanie chmury, wycieraczki nie nadążały zbierać wody z przedniej szyby, przez autostradę płynęły potoki wody. Z ulgą wjechaliśmy na podziemny parking. Nawet tu po ścianach płynęła woda i gdzieś tam tworzyły się kałuże. Na szczęście w części handlowej było ciepło i sucho.

Przy wejściu zwróciły naszą uwagę sklepy z wyposażeniem kuchni i wnętrz. Pięknie udekorowane witryny przyciągały wzrok. Oboje z Robertem lubimy ładne przedmioty, mamy podobny gust (Robert jest zodiakalną Wagą, a ja Bykiem, naszą wspólną patronką jest Wenus – planeta piękna i miłości). Kiedyś ze wspólnych podróży przywoziliśmy do domu naczynia, rzeźby, obrazy, tkaniny, ciekawe drobiazgi – upiększaliśmy nimi naszą przestrzeń. Teraz rzadko coś kupujemy, bo wszystkiego mamy już pod dostatkiem, ale nadal lubimy oglądać piękne przedmioty codziennego użytku. A nabywamy tylko takie, które przemawiają do nas w wyjątkowy sposób. Później trafiliśmy do sklepu z zeszytami, notesami, przyborami do pisanie i malowania; bardzo nam się spodobały. Każde z nas wybrało coś dla siebie.

W holu głównym natrafiliśmy na atrakcje dla dzieci – na gigantycznym ekranie wyświetlano obrazy dżungli, po której poruszały się olbrzymie trójwymiarowe dinozaury. Wyglądały niemal jak prawdziwe. Dzieci wchodziły do tego wirtualnego świata i świetnie się bawiły: uciekały przed tymi dziwnymi, mniejszymi i większymi, stworzeniami lub je goniły. Helenka na początku trochę się bała, ale już po chwili biegała z innymi dziećmi, uśmiechnięta, radosna. Wkrótce i my wzięliśmy udział w tej bez troskiej zabawie, ciesząc się, że jesteśmy w tym miejscu zupełnie anonimowi, możemy „wyglupiać się” bez obaw, że ktoś nas rozpozna lub sfotografuje.

W centrum handlowym moją uwagę zwróciła duża liczba osób z psami – w torebkach lub na smyczy. Były to psy bardzo różnej wielkości, nie tylko małe yorki czy ratlerki, ale też okazałe i wypielęgnowane husky. Na skrzyżowaniu alejek handlowych kilku właścicieli psów, które spokojnie stały przy swoich panach

na smyczy, żywo dyskutowało. W naszym kraju trudno o taki widok. W większości miejsc publicznych obowiązuje zakaz wprowadzania czworonogów.

Studiując historię sztuki, poznawałam dawne obrazy, na których przedstawiano wnętrza kościołów i katedr. Na wielu z nich uwieczniono ludzi z psami, ich obecność nie zakłócała nawet świętych miejsc. Kiedy tak się stało, że to bliskie ludzkiemu sercu stworzenie zostało uznane za niepożądane w przestrzeni publicznej? Tego niestety nie wiem. Ale tu, w wielkim centrum (które jak wszystkie centra handlowe było świątynią naszego komercyjnego świata), te francuskie psy czuły się doskonale.



Gdy Helenka zobaczyła bufet pełen pływających na małych lódeczkach sushi, natychmiast wspięła się na wysoki stół i oznajmiła, że jest głodna. Najbardziej lubi to, co większość dzieci – „koreczki” (ryż z ogórkiem zawijany w glony wakame). Całkiem nieźle posługuje się palczkami, chyba już od drugiego roku życia (dla niej była to świetna zabawa). W domu często ich używamy, nawet do jedzenia potraw, które z Azją nie mają nic wspólnego. Helenka przygotowuje z nami kulki z gotowanego ryżu jaśminowego obsypane lekko uprażonym sezamem, sama też wymyśla swoje kolorowe dania.

Pozostały nam jeszcze zakupy spożywcze. Dostałam swoje ulubione sery kozie: małe, okrągłe, starannie zawinięte w liście kasztanowca i przewiązane rafią (ślicznie wyglądają), a także te pokryte szarym popiołem lub czerwonym pieprzem.



Po powrocie wzięłam gorącą kąpiel. Przyszedł czas na wspólne czytanie, pisanie, rysowanie w nowych notatnikach. Robert musiał też trochę popracować przy komputerze. Praca fotografa to nie tylko sesje zdjęciowe, ale też postprodukcja, której trzeba poświęcić dużo czasu. Kiedyś używał aparatów analogowych. Całe dni spędzał potem w laboratorium fotograficznym, w ciemni. Teraz może pracować w domu lub w podróży, co stanowi ogromne udogodnienie. Cieszę się, że jest artystą, który po mistrzowsku porusza się w świecie obu tych fotografii: cyfrowej i tradycyjnej. Dziś to unikalna umiejętność.

W międzyczasie okazało się, że warunki pracy Roberta podczas festiwalu w Cannes nie dają mu gwarancji na dobre zdjęcia, dlatego zdecydował, że nie przyjmie tego zlecenia. Odetchnęłam z ulgą. Już nic nie mogło zakłócić naszego wspólnego czasu.

Nadszedł nasz pierwszy spokojny wieczór od wyjazdu w tę podróż, a właściwie od dawna. Zapaliłam świece, włączyłam łagodną muzykę, zaparzyłam herbatę. Właśnie dobiegł końca kolejny dobry dzień, chociaż zupełnie inny, niż oczekiwałam. Czasem trzeba po prostu płynąć z nurtem rzeki i zobaczyć, co z tego wyniknie. Opuścić potrzebę kontroli i oczekiwania. I z wdzięcznością przyjąć to, co jest.

*Twórz swój świat. Twórz swoje piękno.
Niezależnie od tego,
czy masz pieniądze czy nie –
podażaj za swoim marzeniem.
A wszędzie świat będzie cię w tym
wspierał.*



Spójrz na swoją mapę marzeń i odważ się zrobić pierwszy krok

Dawno temu marzyliśmy, że pewnego dnia wsiądziemy do auta i wyruszymy przed siebie. Gdzie nas oczy i serca poniosą. Spełnienie tego marzenia przekładaliśmy z roku na rok. Zawsze było coś ważniejszego i pilniejszego do zrobienia. Gdy moja córeczka skończyła pięć lat, marzenie o podróży znów się we mnie odezwało: „**Nie odkładaj życia na później. Nie czekaj na lepszy czas. Marzenia się nie spełniają – to ty je spełniasz**”. Podjęłam decyzję: jedziemy!

Wraz z moimi bliskimi wyruszyłam do Ligurii, na Lazurowe Wybrzeże i do Prowansji, aby odnaleźć piękno i inspirację. Nie wszystko przebiegało tak, jak to sobie zaplanowałam. Odkryłam jednak o wiele więcej, niż się spodziewałam. To, co ziemskie, i to, co boskie, spłotło się ze sobą w osobistą opowieść o podróży do... kobiecej duszy.

*Agnieszka
Maciąg*

Rozmarny i różę. Podróż do samej siebie to książka o życiu, tej najważniejszej podróży – do swojego serca. Agnieszka Maciąg dzieli się z czytelniczkami przemyśleniami i inspiracjami dotyczącymi wewnętrznego rozwoju, aby mogły odnaleźć w sobie siłę do spełniania marzeń i potrafiły dostrzec w każdym zdarzeniu, nawet trudnym, wartość i sens.

E-book dostępny na woblink.com

ISBN 978-83-7515-513-6



9 788375 155136

Cena detal. 49,90 zł



WYDAWNICTWO
OTWARTE